ROCZNIKI POLSKIEGO TOWARZYSTWA MATEMATYCZNEGO
SERIA V: DYDAKTYKA MATEMATYKI 28 (2005)

SETNA ROCZNICA URODZIN PROFESOR ANNY ZOFII KRYGOWSKIEJ

Irena Trzcieniecka-Schneider
Akademia Pedagogiczna w Krakowie

Słoneczny dzień

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

Ilekroć wspominam Panią Profesor Zofię Krygowską widzę Ją w promieniach słońca. Może na taki obraz wpływa nieustający optymizm Pani Profesor, a może dzieje się tak dlatego, że ten jeden dzień, który zadecydował o całym moim zawodowym życiu był pięknym, słonecznym dniem majowym.

Kiedy rozpoczęłam pracę na stanowisku asystenta wówczas jeszcze Instytutu Nauk Społecznych zawisł nade mną, jak nad wszystkimi w mojej sytuacji, miecz Damoklesa w postaci doktoratu. Problem polegał na tym, że z jednej strony nie miałam sprecyzowanych zainteresowań — interesowało mnie bardzo wiele problemów pozornie od siebie odległych, a z drugiej strony wiedziałam, jak mi się wtedy wydawało, bardzo dokładnie, czego robić nie chcę. Niestety, spis tego, czego robić nie chciałam pokrywał się z całością zainteresowań znanych mi logików, którzy mogli być promotorami mojej pracy. Z mego kłopotu zwierzyłam się przypadkowo spotkanemu koledze, który powiedział mi o seminarium Pani Profesor dodając, że to powinno mnie zainteresować. Przyszłam więc w najbliższy poniedziałek, przedstawiłam się Pani Profesor prosząc o zgodę na uczestniczenie w Jej seminarium, Pani Profesor zgodziła się i zaczęłam chodzić.

Trudno opisać zachwyt, jaki ogarnął mnie od pierwszego momentu. W czasie studiów filozoficznych uczestniczyłam w seminariach prowadzonych przez naprawdę wybitnych filozofów, ale to seminarium z dydaktyki matematyki nawet na tym tle wyróżniało się niewątpliwie głębią filozoficzną. Dziś, z perspektywy lat, uważam, że Pani Profesor przede wszystkim stosowała po mistrzowsku tę samą metodę analityczną, dzięki której zasłynęła w świecie szkoła lwowsko-warszawska. Charakterystyczna dla Niej była umiejętność dostrzeżenia ogólniejszego problemu w wypowiedziach uczniów, faktach lub zjawiskach, które większości uczestników wydawały się całkowicie błahe, świadczące co najwyżej o „niedouczeniu" lub przejęzyczeniu. Sądzę zresztą, że myśl filozo-

ficzna zawarta w pracach Pani Profesor powinna zostać zebrana i opublikowana; być może byłby to nawet dobry temat rozprawy doktorskiej.

Tak więc chodziłam na seminarium, coraz bardziej zachwycona zarówno osobowością Pani Profesor jak i problematyką dydaktyki matematyki, ale fakt ten powiększał tylko moją frustrację. Byłam wówczas bardzo nieśmiała, nie zabierałam głosu na seminarium bojąc się, że wygłoszę jakąś straszną bzdurę, albo, co gorsza, kompletny banał. Wprawdzie stopniowo, właśnie pod wpływem seminarium, zaczęła mi się krystalizować problematyka, której chciałabym się poświęcić oraz zagadnienie, które, być może, mogłoby stać się zalążkiem mojej pracy doktorskiej, ale nie wiedziałam, czy ma to jakąkolwiek wartość naukową. Postanowiłam porozmawiać o tym z Panią Profesor, ale okazało się, że to wcale nie jest takie proste. Z chwilą, kiedy Pani Profesor wkraczała na salę zaczynało się seminarium. W momencie, w którym się kończyło, Pani Profesor zostawała otoczona przez grono Jej bliskich współpracowników, a zanim oni skończyli z Nią załatwiać swoje, niewątpliwie ważniejsze od mojej, sprawy, wchodził ktoś z wiadomością, że taksówka już czeka. Tak więc płynął miesiąc za miesiącem, a ja nie byłam ani na krok bliższa rozwiązania mojego problemu.

Szczęście uśmiechnęło się do mnie zupełnie niespodziewanie. Pewnego pięknego, słonecznego dnia zobaczyłam Panią Profesor robiącą zakupy na Starym Kleparzu. Już miałam do Niej podejść, kiedy nagle zawahałam się. Nagle wydało mi się czymś głęboko niestosownym zakłócanie Jej najgłębiej prywatnego czasu czymś, co w końcu było moim osobistym problemem. Nie byłam nigdy Jej studentką ani w żaden formalny sposób nie byłam z Nią związana. Nie miała żadnego obowiązku poświęcać Swego prywatnego czasu na rozwiązywanie moich kłopotów. Z drugiej strony wiedziałam doskonale, że druga taka okazja z pewnością już nigdy mi się nie trafi. Tak więc Pani Profesor przechodziła od straganu do straganu, tu oglądając pietruszkę, tam próbując nabiału, a ja posuwałam się za Nią jak cień, stając zawsze o jeden stragan dalej i wciąż biłam się z myślami — podejść czy nie podejść. Nagle wpadłam w panikę, ponieważ zobaczyłam, że straganiarki z ponurymi minami pokazują mnie sobie nawzajem i coś do siebie szepcą. Należy zauważyć, że była to połowa lat osiemdziesiątych — zdecydowanie niedobry okres na śledzenie kogokolwiek. Na moje szczęście w tym momencie Pani Profesor zakończyła zakupy i stanęła w kolejce na postoju taksówek. Wtedy wreszcie odważyłam się, podeszłam i w dość nieskładnych słowach zaczęłam mówić, co zrobiłam dotąd, czy to nadawałoby się na pracę doktorską i, jeżeli tak, to czy nie przychodzi Jej do głowy ktoś, kto mógłby się podjąć prowadzenia takiej pracy. Już w następnej chwili wydawało mi się, że słońce świeci jeszcze jaśniej. Tym, którzy Ją znali, nie muszę mówić, jak serdecznie moja nieskładna przemowa została potraktowana przez Panią

Profesor. Jednak wypowiedziała przy tej okazji zdanie, które mnie, szczęśliwej do głębi, na tym słonecznym placu wydało się czymś w rodzaju kokieterii osoby, która wie, że jest niezniszczalna. Powiedziała: „Wie pani, chętnie sama podjęłabym się prowadzenia takiej pracy, bo temat bardzo mnie interesuje, ale ja już nie biorę żadnych prac doktorskich, bo największym kłopotem dla doktoranta jest kiedy promotor umrze w czasie przewodu, a w moim wieku należy już się z tym liczyć". Nie zwróciłam wtedy specjalnej uwagi na to zdanie. Pani Profesor wydawała mi się instytucją raczej niż człowiekiem i tak naprawdę nie wierzyłam, że kiedykolwiek mogłaby umrzeć.

To spotkanie w promieniach słońca zaważyło na całej mojej drodze naukowej. Nie tylko mogę się dziś chlubić, że jestem doktorantką prof. Turnaua, ale od tego dnia poczułam nad sobą coś w rodzaju parasola dyskretnej opieki Pani Profesor. Stopniowo, delikatnie do tego zachęcana, zaczęłam zabierać głos na seminariach, zreferowałam jakiś francuski artykuł i wreszcie dostąpiłam ogromnego zaszczytu — na ostatnim seminarium Pani Profesor zaproponowała, abyśmy po wakacjach wspólnie zreferowały książkę S. Baruk, którą właśnie czytała. Nie doszło do tego. Pani Profesor zmarła na pięć miesięcy przed obroną mojej pracy doktorskiej, w momencie, kiedy termin obrony był już ustalony. Jej słowa z Kleparza okazały się prorocze.

I to już właściwie wszystko. Tyle, że i do tej historii życie w ostatnim momencie dopisało pointę. Na obronę pracy doktorskiej jechałam taksówką. Kiedy dojeżdżaliśmy do budynku uczelni taksówkarz niespodziewanie powiedział: „A ja woziłem tu często taką panią profesor. Bardzo miła była pani. Zawsze ze mną rozmawiała. Ale od jakiegoś czasu już ze mną nie jeździ. Tak sobie myślałem, co się z nią dzieje. Może pani wie, o kogo chodzi. Woziłem ją z Oleandrów". I nie czekając na odpowiedź dodał: „Pewnie gdzieś wyjechała, może za granicę, bo czasem wyjeżdżała za granicę". Widocznie nawet jemu, jak i nam wszystkim, myśl o Jej śmierci wydawała się i niestosowna, i nieprawdopodobna.